Lwów 18. Września **Nr 111.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr. —kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 ½ kr. i zadopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

VII.

Krewna królewska.

(Ciąg dalszy.)

Rozmowa ta wydała się panu Ignacemu nader pocieszną, ale wcale nie polityczną ze strony Maxyma, który nie mógł wytrzymać, aby przy zdarzonej sposobności nie przystawić stołka Drzwiowskiemu, widząc, iż tym sposobem kuzynkę swoją, zatopioną w Drzwiowskim oddala od ciotczynego testamentu, a siebie doń zbliża.

Celem rozweselenia ciotki pobiegł pan Maxym po przywiezione pakunki; jakoż przywiózł rulkę tabaki holenderskiej, i zegarek kameryzowany, który zamieniał za dawniejszy cioci pektoralik. Wspomniał też, że kupił kornet bardzo mądry, ale jadąc na koniu, nie mógł go z sobą przywieść. Dziękowała ciotka za sprawunki, ciesząc się głównie zegarkiem, przy czem robiła uwagi nad postępem sztuki zegarmistrzowskiej. Nastąpił potem rachunek z Maxymem, który dostatecznie przekonał Sztroma o skąpstwie nieużytym panny Weroniki.

— Ale! ale! kiedyż mogę się spodziewać bobrów przyobiecanych?.

— Takie teraz proszę cioci panuje rozprzężenie na dworze pani Krakowskiej od śmierci hetmana, że niema tam z kim mówić teraz, ale jak wrócę do Warszawy, zajmę się tem, i przysłużę się niemi kochanej cioci.

Po wieczerzy towarzystwo się podzieliło. Stosownie do umowy pan Maxym zagadywał panią Złotkowską; obzierał zebrane nasionka, chwalił porządek domowy, opowiadał nareszcie niestworzone rzeczy o redutach warszawskich, a mianowicie o nowym zwyczaju, jaki się zakradł, że kochankowie znikają z redut, wsiadają na parę godzin do najemnych pojazdów, i dopiero po pewnym czasu upływie pojawiają się znowu na sali.

Złotkowska niby słuchała niby gorszyła się, ale niemniej przeto natężała uszy, żeby choć cokolwiek usłyszeć z rozmowy swojej dobrodziejki ze Sztromem.

Rozmowę rozpoczęła sama panna Wolska. Opowiedziała mu naprzód po swojemu, to jest obszernie cały swój życiorys; jak to ona miała wielu konkurentów, którym swej ręki odmówiła, jak wiele przeszła przeciwności z siostrą, i jak się teraz cieszy spokojnością i swoim rajem, to jest Powiatówką. Jak dalej pieściła i edukowała Anusię, która się jej tak źle wywdzięczyła, że nawet na wypadek zamążpójścia podług własnego widzimisię nową plamę rzuci na ród Wolskich książęcy, już i tak pobrudzony przez jej matki związek małżeński. Jak nareszcie ona w Maxymie tylko żyje i o nim myśli.

Pan Ignacy, który miał dowcip wrodzony i zostawszy z kalafaktora u Jezuitów ferjantem przy palestrze, połapał nieco wiadomości prawniczych, korzystał zaraz ze sposobności.

— Otwarte, mówił on, teraz pole mościa dobrodziejko dla młodzieży osobliwie szlacheckiej. Łaska pani dobrodziejki może być panu Maxymowi bardzo pomocną; wszak teraz właśnie jest wakans przy ablegacie polskim na Duńskim dworze. Maxym mógłby łatwo przez panią Krakowską uzyskać nominacją, ale cóż, biedak niema środków, bo to niemało kosztuje występować w takiej roli.

— A pfe! gdzieżbym ja pozwoliła, aby mój Maxio zamorską odbył podróż. Jeszcze by się gdzie rozbił jak Jan z Tęczyna.

— I w kraju naszym różne karjery stoją otworem, czy to w stanie cywilnym czy wojskowym, a trzeba z początku mieć co z domu, a tego właśnie brakuje Maxymowi.

— Trzeba, to prawda! bo uważasz asindziej, nie wszycy rodzą się bogaci. Ja bym mniemała, że najlepiej byłoby, gdyby się bogato ożenił; bo cóż ja winna że żyję, a nieboszczyk brat Maxiowi majątku nie zostawił.

— Ekwipunek i inne wydatki to także niemała rzecz; a prócz tego któregeż to panny bogatej rodzice tacy, by nie spytali kawalera o majątek.

— Może odpowiedzieć, iż rachuje na mnie, a ja go kiedyś nie zawiodę... po najdłuższem, rozumie się życiu.

— A niebyłabyś waćpani dobrodziejka łaskawą obdarzyć Maxyma teraz jakąś pomocą, zdałaby mu się do jakiego bądź uczciwego przedsięwzięcia.

— Panie Sztrom, więcej poufałości jak znajomości!.. Ja panu powiem szczerze i stanowczo, że dziś niemożna na nikogo rachować. Ot patrz pan wychowałam siostrzenicę; widzisz pan tu stos skryptów, dodała składając na stół rzeczone dokumenta; warto by je pan przejrzał!... Nie podchlebiając sobie, nie może być wychowanie lepsze.

I jakąż wdzięczność odbieram od niej. Czegoż ja mogę spodziewać się po Maxiu? który się osobno edukuje, mało kiedy ze mną przebywa i o którym slyszałam, że ma się ku dzisiejszej rozpuście i lekkomyślności.

Jednem słowem pan Sztrom choć exjezuita i palestrant został zbity na każdym punkcie przez pannę Weronikę; niechcąc zatem pokazywać tego po sobie skręcił nagle na inny przedmiot.

- Pozwolisz waćpani dobrodziejka, że to kajety wezmę z sobą, aby wieczorem przejrzyć je. Wyczytam z nich wiele ciekawego zapewne co do polskich rzeczy.

— Nie bronię panu — wszystko to moje własne jest pismo, przekonasz się pan, jak ja Anusię uczyłam.

Jakoż wkrótce, gdy panowie młodzi dobranoc powiedziawszy, wyszli do przygotowanego dla nich Anusinego pokoju, Sztrom zabrał z sobą wszystkie te pisma panny Weroniki.

Ciotka zostawszy sama w pokoju, zwyczajem swoim oddała się przez kwadrans medytacyi, przeszła wszystkie swoje z dnia minionego czynności, i przygotowywała sobie książki do nabożeństwa. Mimo te wszystkie zajęcia czuła jakieś wewnętrzne niezadowolenie; odgadywała bowiem natchnieniem i doświadczeniem wszystkie nieprzyjemności dnia następnego, zwłaszcza pan Sztrom, przebywający w towarzystwie Maxyma, nie mało jej dawał do myślenia.

W tem weszła Jagusia, i z niemałem zadziwieniem swej pani podała jej list od Anusi ze Lwowa na pocztę przysłany. Niezawadzi zrobić uwagę, że mimo tak osławionego porządku polskiego, mieliśmy pocztę od Władysława IV. czasów jeszcze.

List Anusi był następującej treści:

Wielmożna i Najukochańsza Ciotko!
i najosobliwsza Dobrodziejko!

„Serce moje nie może przenieść, abym nie zdała sprawy wielmożnej ciotce, jako mojej osobliwej dobrodziejce o naszej podróży, po wyjeździe z Powiatówki. Zaczynam od tego, iż dzięki Bogu droga moja matka wytrzymała tę wielką fatygę, i zdrowa zajechała do Lwowa, pomimo najgorszych noclegów i popasów. Cóżbym dziś nie dała, gdybym miała jaką wiadomość o drogiej mojej i najosobliwszej dobrodziejce, która mi zawsze od rana do wieczora na myśli stoi, i której tyle winna jestem. Wiele do zniesienia mieliśmy, zanim Żółkiew ujrzeliśmy; wszędzie mnóstwo śniegu, a do tego woźnica najemny ciągle pił, tak, iż nasza stara landara to na prawo to na lewo wywracać się chciała. Powiedziano nam, iż z Żólkwi dalej trudno było na kołach się wlec; dla tego matka moja gary dorobić kazała, najęła nowego furmana, co wszystko dało sposobność oglądnąć świątynie w tem mieście. W kościele tuż przy bramie oglądalam obrazy historyczne bitew, sławę naszemu narodowi jednających. Byłam także u księży Dominikanów na wspaniałem nabożeństwie; udarowałam dziadów jałmużną, za co mi też różne dziwy opowiadali, a między niemi, jakoby Marek Sobieski nocną porą zawsze w zbroi po kościele się przechadzał. Wyjechawszy z Żółkwi, przyjechaliśmy do Lwowa; piękne to miasto, szkoda tylko, iż jak w kotle leży, przez co bardzo jest niezdrowem. Z tąd sama niewiem, gdzie się udamy, aby kochanego Tatę odszukać; połowę bym dała życia, gdyby to nastąpiło rychło. Mało co go pamiętam. Czy też Bóg dobry i Matka najśw. Częstochowska pozwalają mu być zdrowym i nie w potrzebie. O Jasiu moim również nie mam wiadomości żadnej od czasu naszego rozstania się w Powiatówce. Kocham go ciągle i szczerze i w tem jednem przekraczam życzenia i rozkazy mojej kochanej cioci Dobrodziejki. Ale jak nieba pozwolą, że się z nim połączę, to i ciotka dobrodziejka będzie łaskawszą na niego, przekonawszy się, iż jego jest celem i zamiarem starość moich rodziców pielęgnować. Nie wiem gdzie się ztąd udamy, zależeć bowiem to będzie od tego, co nam tutejszy arcybiskup powie. On jeden prowadzi dokładne rejestra exjezuitów, a podług zdania mego Jasunia, który zawsze ma pewne wiadomości, odkryty pobyt księdza Deodata Rafałowicza może nas dopiero naprowadzi na pewny ślad mego ojca, w czem Boże wielki i dobry dopomóż. Ojciec zaś dla tego się jeszcze ukrywa, i działa wszystko przez księdza Deodata, że się obawia odpowiedzialności za należenie do Konfederatów, którzy Lwowowi najwięcej dokuczali. Drożyzna tu wielka, jemy małemi porcyjkami, ale nam dwiem niewiele potrzeba. Co tam porabia Złotkosia? Czy Jagusia slucha? Czy się odzywają ptaszki? czy poczciwy Maxio bobry przysłał; dobry to chłopiec, ale biedny, bo niema środków. Już i miejsca nie staje, przeto upadam do nóg cioci mojej i najosobliwszej dobrodziejce, i zostaje z głębokiem uszanowaniem i wysokim respektem wielmożnej pani dobrodziejki z serca przywiązana siostrzenicą i najniższą sługą,"

Anna Wolska.

„I ja biorę pióro do ręki aby się przypisać i powtórzyć waspannie dobrodziejce, iżbym na nią nieprzebłaganą była, gdyby mnie od podobnych sentymentów nie odwodziła myśl, iż już jedyną siostrą moją na tej ziemi jesteś, i dla tego zgłaszam się zostając z przyzwoitym afektem życzliwą siostrą"

Józefa Wolska.

— Przeczytaj no Kochana Urszulo! ozwała się panna Weronika z pół łzą w oku, a pół uśmiechem na ustach, a potem psalm sobie zaspiewamy. To dziecina zawsze jednakowa! dodała z westchnieniem.

— Nie mówiłam-że ja pani, że takie anioły nie odmieniają się.

VIII.

Polowanie na szczury.

Wróćmy teraz do Buczacza, gdzie zostawiliśmy starostę Kaniowskiego, kiedy się wybierał na wielką przeciw szczurom wyprawę.

Pochód w jakim wyruszyli wszyscy, tylko w Buczaczu zdybać można było, bo tylko panu Kaniowskiemu podobne do głowy przychodziły koncepta. Szedł zatem na przedzie jako główny komenderujący sam jaśn. wielm. starosta w delii niebieskiej, czarnemi niedźwiedziami podbitej; tuż za nim jakby adjutanty pan Wolski po prawej a pan Krzymuski po lewej stronie. Hernek w obcisłym surducików i obcisłych pluderkach, zmarznięty i trzęsący się, stanowił szpicę dzielnego wojska.

Główny zastęp wojenny posuwał się o kilka kroków dalej, i najzabawniej był złożony; była bowiem w niem mieszanina niepospolita. Byli tam i księża już nam znani było kilkunastu kozaków w herbowej barwie, było nareszcie i dziewek kilkanaście. Uzbrojenie niemniej było pocieszne. Księża mieli kije i laski z sobą, raczej do obrony niżeli do zaczepki, do której jak widać było po rzadkich minach, najmniejszej nie mieli ochoty. Uzbrojenie kozaków było najrozmaitsze; mieli bowiem jedni dołbnie, drudzy czekany, inni znowu grace, maczugi i drągi. Dworskie dziewki dźwigały cebry i konwie. Z tyłu nakoniec za wojskiem istna szła muzyka. Było tam kilkunastu chłopców, którzy nieśli koty połapane w mieście i oczywiście dla własnej zabawy dusili je po drodze, z kąd powstawał pisk i miauczenie rozdzierające uszy, muzyka prawdziwie kocia.

— Cicho tam! krzyknął czasem starosta lecz widocznie bawił go ten pochód komiczny i wrzaskliwy.

— Cicho! powtarzali adjutanty, uśmiechając się także w ślad za jaśnie wielmożnym.

A chłopcy widząc co się święci, z umęczonych kotów dobywali coraz dziksze i niesforniejsze tony.

Zatrzymała się wreszcie cała kolumna przed samą spiżarnią. Stały przed nią dwie ogromne kadzie, napełnione ukropem, przeznaczone także na broń naprzeciw nieszczęśliwym szczurom.

— Nabierać ukrop! zawołał Krzymuski donośnym głosem.

I dziewki przystąpiły do pełnych kadzi, i zaczęły czerpać ukrop do przyniesionych z sobą naczyń.

Starosta raz się jeszcze oglądnął, jako wódz prawdziwy, aby obejrzeć i obrachować siły swoje. Snać wszystko było w porządku, bo uśmiech zadowolenia wystąpił na twarz jego.

I skinął na jednego z kozaków, który przystąpił z ogromnym kluczem i zaczął nim otwierać drzwi spiżarniowe gdy nagle!

— A to co? krzyknęli wszyscy.

Pojawił się gość nowy, o którym napomknęliśmy już. Z poza kadzi wysunęła się postać blada, czarno odziana, z długiemi włosami na głowie i z miną na poły pokorną, na poły przestraszoną skłoniła się, potrząsając aż ku ziemi zdjętą z głowy jarmurką. Był to nasz znajomy Chaim Szabsajowicz, z wielkim workiem pod pachą, który jak wiemy, oczekiwał sposobnej pory, i któremu to polowanie wydało się chwilą najstosowniejszą. Ale biedny żydek nie był bez strachu, to też komicznie drżały jego do śmiechu wykrzywione usta.

Starosta fatalnego marsa na czole postawił i groźnym ozwał się głosem, aż Chaimowi czarna jarmurka w ręku zatańcowała.

— Zkąd? poco? i dla czego zachodzisz mi drogę parchu?

— Najoświeceńszy panie! odrzekł żyd, któremu w tej chwili żywo stanęły w głowie wszelkie nieszczęśliwe zdybania własnych jego współwyznawców z kapryśnym starostą: Jaśnie pani Koziebrodzka chce rodzić...

— I cóż z tego?.. krzyknął starosta jeszcze groźniej..

— I wszyscy zadrżeli, choć słowa żyda rozśmieszyły wszystkich.

— Tak jest najmiłościwszy panie! chce rodzić.... a więc dla takich ważnych przyczynów, jasny pan starosta Olchowiecki nie może wyjechać z domu swego, a że chia terminów swoich dotrzamać, przysyła dla tego pieniądzów przezemnie. Ja zaś jestem wierny jego posłaniec Chaim Szabsajowicz, arendarz z Chocimierza.

— Brawo! zgoda! lubię akuratność, i lubię żydów, co mi pieniądze przynoszą. Dla tego waść panie Szabs, czy jak tam, nie pójdziesz ani na gałęź ani do turmy owszem jako posła pana starosty zapraszamy cię z sobą na polowanie na szczury. Będziesz łapał szczury, położywszy sakwę na boku, nie tracąc jej wszakże z oka.

— Ja bardzo lubię polować na szczurów, odpowiedzia żyd, schylając się aż do ziemi prawie. Ja za najjaśniejszym panem i na koniec świata polować gotów.

— A więc chodźmy!

Wszyscy weszli do spiżarni. Był to gmach już strupieszały; w wielu nawet miejscach podłogi nie dostawało, niemniej przeto napełnioną była rozmaitemi wiktuałami i wędzonemi przysmaczkami, stosownie do znanej powszechnie pańskiej u nas gościnności.

Łatwo pojąć, że taka spiżarnia musiała być ulubionem siedliskiem szczurów. I nie były to zwyczajne szczury. Pomiędzy rozmaitemi gośćmi, którzy w połowie osiemnastego wieku ze wszystkich kątów do naszej się ściągały ojczyzny, zawitał także nowy jakiś gatunek szczurów, któryjak twierdzono przybył aż z Persyi, i mocno sobie podolskie upodobał niwy. Szkaradnie wyglądały te szczury; po ośm cali zwykle długości, mieli ogony równej wielko-

ści; z wierzchu rudawe, czasem żółtawo-szare, pod spodem zaś białawe, głowy podługowate, oczy wypukłe, uszy mierne, nogi cieliste prawie, rzadką sierścią porosłe. Skoro się tylko pojawiły, wypowiedziały wojnę dawnym szczurom, ale za to sami niepospolite wyrządzały szkody.

(D. c. n.)

PAN BÓG W GOŚCINIE

(Legenda.)

Kmieć jeden stary dawnemi laty
Chciwy i skąpy, chociaż bogaty,
Orał swe pole z młodym najmytem
Chcąc je pszenicą zasiać, czy żytem,
A kiedy słonko, co ich zbudziło
Rankiem do pracy w górę się wzbiło,
Zmęczone woły na ścierń powiedli,
I do obiadu sami usiedli!...

Aliście Pan Bóg w ciele żebraka,
Żeby doświadczyć serce wieśniaka,
Zbliża się do nich i w imie nieba,
Wyciąga rękę o kawał chleba.
„Niech ci da Pan Bóg ruszaj człowiecze,
Bo my nie mamy" gospodarz rzecze...
I starzec odszedł. Lecz najmyt młody,
Spędzając niby woły do wody,
Dopadł żebraka i w imie Boga,
Wsunął mu w torbę kawał pieroga.

Za to mu Pan Bóg pobłogosławił,
I z nieprzebranej dobroci sprawił,
Że on sierota bez ojca, matki,
Pracą a prawdą zebrał dostatki.
Lecz choc zamożnym był gospodarzem,
Zawsze się chętnie dzielił z nędzarzem,
I w każde święto do jego stoła
Wdowy sieroty z całego sioła
Szły po okrajec séra i chleba,
Szląc zań błagalne modly do nieba.

Raz gdy z kościoła do domu wrócił,
Tak go żal ścisnął, tak się zasmucił,
Że niemógł z biednych znaleść nikogo,
By znim podzielił strawę ubogą;
I rzekł do żony, co z nim wróciła,
I jak zwyczajnie stół zastawiła:
„Nie, ja nie siądę dzisiaj do stołu,
Czyż nikt z łaknących z nami pospołu,
Ten przenajświętszy dar nie podzieli?...
Czemże uczcimy święto niedzieli?...
Zabierz te miski, ja pójdę drogą,
Może gdzie wdowę spotkam ubogą,
Albo sierotę, albo nędzarza,
Dobry uczynek smaku przysparza."

I wyszedł z chaty i w pośród drogi,
Zaszedł mu w oczy ten sam ubogi
Którego w on czas, by dziad nie swarzył
Kawałkiem ciasta skrycie obdarzył...
A był to Pan Bóg w ciele żebraka,
Co chciał doświadczyć serca wieśniaka.

Obadwaj siebie poznali wzajem,
I dobry człowiek swoim zwyczajem,
Przyzwał na skromną starca biesiadę,
Twarz miał wesołą i serce rade,
Że się z łaknącym chlebem podzieli
Że może uczcić święto niedzieli.

A gdy nazajutrz swoim zwyczajem,
Wieśniak wypuszczać niechce żebraka,
Żebrak natomiast prosi wieśniaka,
Żeby go zechciał odwiedzić wzajem.
Darmo gospodarz tem się odprasza,
Że nie ma czasu, że w polu pasza,
Więc pomodliwszy się przed obrazem
Co strzegł spokojnych ścian jego chatki,
I pożegnawszy żonę i dziatki,
Poszedł powoli ze starcem razem.

(D. n.)

Miłość i cholera.

Zdarzenie prawdziwe.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz gdy Leon uspokojony nieco przyszedł odwiedzić ukochaną Bronię, zastał drzwi zamknięte. Po długiem a daremnem dzwonieniu, pojawił się wreszcie stróż kamieniczny, który oświadczył, że pani Referendarzowa z wnuczkami rano jeszcze wyjechała na wieś.

— I nic dla mnie nie zostawili?

— A nic!

Pobiegł do szambelana. Szambelan przed godziną wyjechał.

Uśmiechnął się pan Leon półgębkiem, bo zrozumiał teraz dopiero, że te panie uciekły przed cholerą. Ale przecież boleśnie go ubodło, że się z nim przed odjazdem nie widziały nawet.

— I Bronia! pomyślał smutno.

— Musiała stosować się do woli babki! pocieszał się.

Westchnął przecie, bo pan Leon chociaż i praktyczny i praktykant, więcej cenił Bronię i jej miłość prawdziwą, niżeli jej znaczny posag. Pokazuje się, nieprawdaż! że są jeszcze ludzie dziwnie szaleni.

Nie szła mu też robota kancelaryjna. Tęsknił biedak, aż nareszcie postanowił pojechać za referendarzową.

Zostawmy go teraz starającego się o pozwolenie, i przenieśmy się także na wieś, by odszukać nasze trzy piękne córki.

Wioski pani Referendarzowej były na Podolu. Główna wieś, czyli jej stolica leżała nad jednym z zwykłych jarów podolskich, który nagle z stepowej wypływając płaszczyzny tworzy dwie góry, niby przedzielone strugą jaką, na stawki porwaną.

Nad takim jarem stało obszerne pomieszkanie pani Referendarzowej, przez wzgląd na dwa brzuchate słupy przed gankiem, pałacem zwane w całej okolicy. Za pałacem ciągnał się ogród dosyć obszerny, w którym widoczny był gust polsko-szlachecki do pańskiej fantazyi i do angielszczyzny. Ogród ten był dziełem zmarłego majora, ojca trzech pięknych córek, który w Nadybowcach mieszkał przez lat kilkanaście. Był to duch niespokojny, prawdziwie wojacki, któremu było za ciasno, za nudno w podolskiej wiosce; ciągle więc to kopał, to sadził, to ziemię przewracał, to nareszcie coś walił bo niby niepotrzebne, a budował i klecił, bo niby potrzebne.

Najznakomitszem jego dziełem był domek ogrodowy, rodzaj letniego pawilonu, stojącego w środku ogrodu na szerokim trawniku w klombowem otoczeniu. Styl budynku miał niby być maurytański, bo major był niegdyś w Alhambrze, przeznaczony zaś był na księgozbiór bez książek, na samotne studja i rozmyślania z dymem tytoniowym ulatujące, na łazienki bez wanny i wody. Było to jednem słowem letnie pomieszkanie, w którem najczęściej nikt nigdy nie mieszkał, chyba że major zaszedł na poobiednią drzemkę, lub kogo z gości na nocleg zatrzymał. Sam major nazwał je: *maison de plaisance*, z czego czy przez dowcip, czy przez błąd w francuskiej wymowie uczyniony, sąsiedzi zrobili: *maison de plaisanterie*.

Opisałem szerzej ten domek ogrodowy, bo daremnie szukalibyśmy w pałacu naszych pięknych pań. Chociaż Referendarzowa od kilkunastu już dni zawitała do Nadybowiec, w pałacu głucho, cicho i pusto, jakby tamtędy anioł śmierci przeleciał. Na całym froncie pozamykane okienice, brak wesołego i gościnnego nad dachem dymu, smutne zadumanie brytana w budzie filozoficznie ziewającego, świadczą że dom ten nie jest zamieszkały; bo jużciż mieszkańcami szlacheckiego dworu na wsi niemożemy nazwać jakiejś dziewki co tam dąży ku folwarkowi, i zawadza o stajnię, by pogwarzyć nieco z skrobiącym się w głowę parobkiem stajennym, ani też owego stróża obdartego z głową opaloną i zakopconą, który na drewutni samotne pałacu echa rozbudza głuchym łoskotem siekiery, leniwie na sęk jakiś uparty spadającej.

Gdzież się podziały stara babka i młode wnuczki?... Chodźmy w ogród, tam pominąwszy różne sztuczne figle, mające wyobrażać groty i ruiny, strumyk i chińskie parawaniki, stajemy wreszcie z ocienionego wychodząc gaju na szeroki gazon na którego środku wznosi się domek pokręconemi w około otoczony słupami, nad którym wznosi się niby długi komin, rodzaj wieżyczki z jednem oknem tak okropnie szerokiem, że wygląda jakby szeroko rozwarta gęba tej z świata i ludzi kpiącej wieżyczki.

To jest owa sławna maison de plaisanterie. Tam to mieszkają panie nasze, które strachem cholery gnane zdecydowały że pomieszkanie w pałacu za nadto było niebezpieczne, z powodu bliskości wsi i mnogich a koniecznych z ludźmi dworskiemi stosunków. Zamknęły się tedy same jedne w hermetycznie zamkniętym pawilonie, i tam jak ongi księżniczki zapieczętowane czarem jakim, czekały ażali bohatyrski czas (oczywiście nie krakowski, daleki od wszelkiego bohatyrstwa) nie zwalczy tego potworu cholery, który ich tam trzyma w smutnem zaklęciu.

Korzystając z przywileju powieściarskiego wejdźmy mimo zamknięcia i czujnej straży do środka tej warowni. Zapomniałem powiedzieć że Referendarzowej najwięcej to się podobało, że ten dom stoi na miejscu w około otwartem, a więc łatwo odciąć wszelki doń przystęp podejrzanym figurom, do czego pomagała od czasu do czasu odbywana straż przez jedną z trzech pięknych córek w oknie wieżyczki.

Jest to godzina ranna; całe towarzystwo siedzi w saloniku przy rannej kawie. Towarzystwo to składa się tylko z babki i wnuczek. Niema żadnej sługi; każda z wnuczek odbywa kolejno służbę przy babce i siostrach, a nawet przy kuchni na kominku zaimprowizowanej. Ale co więcej niema szambelana. Spoźnił się biedak o godzinę, i zastał już ukonstytuowane zamknięcie ogrodowego domku. Co się działo w sercach biednych staruszków łatwiej pojąć jak opisać.

O zjadliwa cholero! jeżeli cię przekleństwa tych starców nie zabiły wówczas, to widocznie jesteś pod opieką władz jakichsić szatańskich!

Porządek zaś tak był zaprowadzony że tylko w pewnych godzinach przychodziła tłusta dziewka od krów, która ten przywilej zawdzięczała tej właśnie swojej rumianej i zdrowej otyłości, przychodziła, i na długiej żerdce podawała wiktuały i inne rzeczy do dziennego użytku potrzebne.

W tym względzie reguły raz ustanowione były surowo utrzymane. Bo też wielki panował strach w załodze samotnego domu. Jakkolwiek strach jest silnem i wyłącznem

uczuciem, przecież odzywał się w sercach żeńskiej załogi żal niejaki. Bronia żałowała drogiego Leona, Wania i Winia wysokiego zamku, a najwiecej babka wzdychała za szambelanem i pasyansem. Żal ten codzień stawał się cięższy, a tem trudniejszy do zniesienia, że szambelan codzień przychodził od siebie, i jak one dusze zaklęte nad Acheronem błądzące, wałęsał się po klombach ogrodowych, i choć głowę wyściubił z gajowego cieniu, by zajrzeć choć z dala w okna za któremi chowają się referendarzowa i owe dwie talje kart, długiem użyciem uświęcone. Pierwszych dni za każdem łysej i siwej głowy szambelańskiej pojawieniem ośm rąk z okien powilonu wystawionych telegrafowały mu gwałtownemi ruchami rozkaz oddalenia się. Codzień wszakże ręce mniej gwałtownie machały, a szambelan codzień więcej zbliżał się do pawilonu, aż nareszcie po walnej naradzie stanęło na tem, że szambelan może codzień rozmawiać z paniami przez okno, stojąc wszakże w odległości trzech łokciowej żerdzi. (C. d. n.)

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO
Pisarza skarb. w K. Lit.

Niech będzie pochwalony Bóg w Trójcy świętej jedyny, teraz, zawsze i na wieki wieków Amen, który jest początkiem i końcem wszystkich rzeczy, przez którego wszystko, w którym wszystko, który wszystko.

Pospolicie dwie ciekawości, acz nieprzynoszące zupełnego ukontentowania, miewają ludzie; to jest: zgadywać *futura*, wiedzieć *praeterita*. Przyszłe rzeczy, że są tylko samemu wiadome Bogu, podły to jest i płochy umysł duszy, oraz naganna usilność dociekać onych przez jakiekolwiekbądź sposoby, i nie obejdzie się bez grzechu; *de praeteritis* zaś chcieć być informowanym, nietylko rzecz jest nie naganna, ale owszem gnuśnego znak człowieka, który o nich nie chce wiedzieć, ile gdy z przeszłych rzeczy wielką każdy może mieć naukę do doskonałego postępowania, w okolicznościach wszelakiego czasu zdarzających się.

A zatem jeżeli rzecz nienaganna szperać po różnych pismach, dowiadując się o tem co przeminęło: toć rzecz chwalebna i użyteczna podawać potomności to, co kto widzi, czyni i ponosi za żywota swego. Lecz że nie każdemu dał pan Bóg być w tej sytuacyi, aby mógł swe dzieła ogłaszać światu; ci więc, których Opatrzność Jego chciała mieć w mniejszej sferze, nie powinni ku powszechnemu czytaniu podawać dyaryusze życia swego, ale przystojna rzecz zostawić je dzieciom swoim, aby z ojcowskich obrotów miarkowali swoje, a nadewszystko uważali prowidencyą Boską, której nie masz człeka, aby widocznie przez trakt życia swego nie doznał.

Te ja więc mając pobudki, zaczynam w imię Pańskie, acz późno, bo już w 42 roku wieku swego, w teraźniejszym 1763, miesiąca 9bra dnia 6, a zatem to tylko do dzisiejszej daty opiszę, co dowodniej i pewniej pamięć zniosła. A naprzód należy mnie wspomnieć o urodzeniu mojem tak z ojca i z matki.

Matka moja z domu Święcicka, strażnikówna mścisławska, urodziła się z Poniatowskiej, Poniatowska zaś z Wojnianki, Wojnianka z Połubińskiej, z tej więc dał mi się Bóg urodzić, w znacznej i licznej kolligacyi, w województwie mścisławskiem, w dobrach od dawnego czasu imieniowi naszemu służących, to jest w imieniszczu własnem, w Łopacinie, dnia 2 Febr. w dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, roku 1722. Za łaską zaś Pana Boga ochrzcono mię tegoż roku dnia 8 Februar.; trzymał mię do chrztu w pierwszej parze pan Władysław Poniatowski, koniuszy mścisławski, brat stryjeczny rodzony matki mojej, z panią Zienkiewiczówą; w drugiej parze pan Pożarycki z panią Poniatowską koniuszyną; w trzeciej parze pan Teodor Kamieński, kasztelanic mścisławski, z panią Barbarą z Ostrołęckich Pożarycką, przyrodnią siostrą matki mojej. Metryka znajduje się w Malatyczach; imiona Ignacy Błażej.

Gdym już miał niedziel 15 czy mało co więcej, trafiło się, iż w nocy zagorzał budynek w którym ja byłem, i gdy każdy ratując własne życie, umykał z pod dachu, zapomnieli o mnie nawet te niewiasty, na których staranie byłem oddanym, i tu już mi zgorzeć przyszłoby, gdyby nie Opatrzność Boska i miłość dobrodziejki matki mojej, która ujrzawszy zabudowanie całe w ogniu, z ażardem życia swego wskoczyła do środka i wyrwała mnie z ognia, opaliwszy sobie srodze nogi, gdyż jako to się stało w głuchą noc, tak w prędkości nic jej na siebie porwać nie przyszło. Z tego opalenia była w kuracyi blizko pół roku, musiano jej wyrzynać ciało dla zapobieżenia gangrenie. W początkach przypadła była maligna, z której o włosek ten świat nie pożegnała; miała w chorobie niejakieś widzenie, objawiające jej długie życie. W tym zaś czasie gdym się urodził, umarł brat mój za mnie starszy, Antoni, mający lat 6; a wuj rodzony Władysław Swięcicki, niewypowiedzianej siły kawaler, miesiącem czy więcej przed urodzeniem mojem został z zasadzki zabitym we własnym domu, w starostwie morymborskiem.

O śmierci Leona Łopacińskiego, opisuje Ignacy Łopaciński, protoplasta linii domu Jodzkiego:

Urodziłem się za króla Augusta IIgo na schyłku życia jego; pierwej jednak nim król umarł, ojciec mój umarł i interregnum przebyliśmy w sieroctwie, gdyż ojciec nasz mający lat 70 bez mała, a cierpiąc wodną puchlinę przez pięć lat, zostawił mnie ośmioletniego, pożegnawszy ten świat roku 1732 dnia 14 Decembra. Umierał bardzo przy-

kładnie: naprzód kilką dniami przed śmiercią, gdy brat mój pan Mikołaj powróciwszy z polowania, przyniósł jakąś zwierzynę z ptactwa, kazał onę zgotować nieboszczyk ojciec, i wokowawszy pana Mikołaja, błogosławił go temi słowy: „Jako Izaak przy zwierzynie błogosławił Jakóbowi, tak ja tobie daję błogosławieństwo.” Zalecał oraz, aby mnie młodszego brata kochał, nie krzywdził, ale starał się dać dobrą edukacją.

Imci księdza Jana, teraźniejszego biskupa nie było, bo zostawszy kanonikiem wileńskim, nowicyat siedział w Wilnie, którego ojciec nieboszczyk żądał przybycia, lecz nie przybył aż już po śmierci. Gdy się przybliżył ostatni moment życia, rozesłał ojciec nasz, prosząc przyjaciół do siebie, a mianowicie Imci pana Poniatowskiego koniuszego, i Stanisława Pożaryckiego, rejenta ziemi mścisławskiej, i innych. Ci przyjechali w sam dzień śmierci, których temi słowy powitał: «Dziękuję WW. Panom, że na pogrzeb mój przybyć raczyliście,» a już się był dnia tego dysponował na śmierć o godzinie piątej z rana, i wziął wiatyk i ostatnie namaszczenie od Jegomości księdza Dobrzyńskiego, przeora Dominikańskiego malatyckiego. Ten ksiądz przeor po daniu Najświętszych Sakramentów, odjechał, ale przyrzekł na prośbę nieboszczyka wraz przysłać kapłana; jakoż kapłan około dziewiątej godziny nadjechał, którego gdy ujrzał nieboszczyk ojciec, dziękował że go przysłał ksiądz przeor, lecz ów kapłan nie chcąc trwożyć nieboszczyka, mówił, że jedzie z Pachowa i mimojazdem wstąpił: jakoż był tego dnia przyjechał z Pachowa.

Na to mu odpowiedział nieboszczyk: „Rozumiałem, że mi Waćpana Jegomość ksiądz przeor przysłał, ale widzę zapomniał o mojej prośbie; lecz sam Pan Bóg zdarzył mi Waćpana, abym miał przy śmierci księdza.“ Tandem około godziny 12, gdy goście siedzieli u stołu, poczuwszy się być słabszym, prosił do siebie księdza, obligując aby z nim akty mówił; gdy zaś już bardziej zaczął słabieć; żegnał matkę naszę a żonę swoję, dziękując jej za stateczną miłośc małżeńską, i polecił jej nas w opiekę. Żegnał się oraz z przyjaciołmi upraszając przytomnych, aby mu urazy (jeżliby miał kto jaką) darowali, a nieprzytomnych aby o to upraszali. Potem zaczął błogosławić JW. Mikołaja starostę mścisławskiego, pannę Eufrozynę, teraźniejszą panią Ciechanowiecką, pannę Krystynę, teraźniejszą panią Naramowską, pannę Różę teraźniejszą pannę Rachelę zakonnicę S. B. Ja zaś mały wybiegłem z tego pokoju, ale mię kazał zawołać, i rzekłszy te słowa: „Nie pilnujesz ojca, biegałbyś za nim, ale go nie będziesz miał.“ Potem wziął mnię za głowę i długo błogosławieństwo swoje mówił po cichu; nakoniec kazał wszystkim ustąpić, tylko jednego księdza przy sobie zostawił, z którym akty mówił, póki miał jeszcze głosu; nareszcie szeptał, gdy zaś już cale mało miał r e s p i r i u m, dawszy w ręce gromnicę zaczął wołac: Jezus, Marya, Józef, które słowa wyraźnie cichym głosem nieboszczyk wymówiwszy, i krucyfix pocałowawszy i jednę nogę przykurczywszy trochę, a drugą wyciągnął; skonał w pół do trzeciej z południa. Tegoż momentu i źrenice się potoczyły: jedna spadła, a druga się zatrzymała jak perełka.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Ze Stryja.** Już od dwu miesięcy JP. Borkowski z trupą swoją przybywa tutaj przedstawiając scenę polską nietylko przyzwoicie i uczciwie, ale nawet godnie. Dotąd publiczność przepłoszona cholerą niewiele na teatr ten zwracała uwagi i p. Borkowski z przedstawieniami swojemi występować musiał przed garstką widzów tak szczupłą, że położenie jego stawało się coraz krytyczniejsze. A jest to przecież przyznać potrzeba, scena narodowa w całem znaczeniu, bo p. Borkowski umiał pojąć duszę narodu swojego, i dlatego repertoarz układany przez niego, przedstawia sztuki przez które nietylko ożywia narodowe czucie, nietylko podnosi narodową duszę, nietylko rozwesela i bawi, ale naucza i buduje tak treścią słowa jak stosowną grą aktorów swoich. Piszę to sprawozdanie ogarnięty jeszcze świeżo wrażeniem, jakie uniosłem z sobą z przedstawienia wczorajszego pod nazwą: «Mieszczanie i Kmiotki,« P. Borkowski występując sam w roli dziarskiego Krakowianina, wieśniaka, oddał ją z taką szczerością, z takiem zlaniem duszy swojej z duszą ludu krakowskiego, że widzieć potrzeba go było w tej roli, aby się przekonać, że wszyskie tętna, wyższe zalety, cała wielkość prostoty ludu tego, pełność zdrowych myśli, dzielność i dziarskość objawiająca się w każdym ruchu, w każdym rzucie oka, w każdym kroku, w każdym czynie, to wszystko skupione być może w pojęciu i uczuciu jednego artysty, który w tej chwili najwierniejszym obrazem ludu swojego się staje.

Oprócz roli p. Borkowskiego, były inne jeszcze role także stosownie obsadzone. Ale jaki to *kontrast* rażący patrzeć jak Artyści występują w zakątku ciasnym, na scenie malutkiej, w obec liczby widzów tak szczupłej. A przecież tymczasowa scena tutejsza zewszechmiar zawstydza nawet scenę lwowską.

Cieszymy się że teatr JP. Borkowskiego, dzięki obywatelom okolicznym zaczyna już cokolwiek więcej się zapełniać, i życzyć należy, aby jak najwięcej się zapełniał, bo jest na prowincji więcej pożyteczną instytucyą, niż po wielkich miastach, i pod dyrekcyą uczciwą stać się może żywą szkołą dla wszystkich.

* Znany malarz tutejszy p. Jan Tysiewicz ofiarował był Najjaśniejszemu Panu, wydany przez niego w trzech językach, polskim, francuskim i angielskim poemat A. Mickiewicza: Konrad Wallenrod, do którego illustracje sam rysował. W dowód uznania pracy jego, Najjaśniejszy Pan raczył najłaskawiej zaszczycić go wielkim medalem złotym, przeznaczonym dla odznaczających się artystów.

* Dowiadujemy się, że znakomita artystka nasza, Pani *Ludwika Rywacka*, pierwsza śpiewaczka dramatyczna ces. teatru w Warszawie, która bawiąc tu od kilku miesięcy i zwiedzając Czerniowce, Stanisławów i Truskawiec zachwycała publiczność swym głosem i odbierała wszędzie najświetniejsze uznanie wielkiego talentu swego, wyjechała dzisiaj na wezwanie dyrekcyi polskiego teatru Krakowskiego do Krakowa, zkąd po kilku przedstawieniach wróci do stolicy naszej i odpowie z gotowością życzeniom osób chcących korzystać z Jej nauki śpiewu.

* Na dniu 14 września zasłabło 5, umarło 1, dnia 15 zasłabło 2, a umarło 2. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5601, a umarło 2846 osób. Tem kończymy sprawozdania o cholerze.

* Dnia wczorajszego zmarł we Lwowie jw. **Maciej Krajewski** c. k. radca ministerjalny i były krajowy dyrektor finansów w 63 roku życia. Jutro popołudniu o godzinie 4ej odbędzie się pogrzeb jego. Dzisiaj zaś odbędzie się pogrzeb pani Róży z Czarnomskich hr. Golejewskiej.

Przyjechali od dnia 14. do 16. Września do Lwowa.

PP. Czajkowski Fortunat z Borussowa. Rozwadowski Wiktor z Babina. Wyszyński Józef z Kossowa. Onyszkiewicz Rudolf z Lisiasiatycz. Thulie Stan. z Czernichowiec. Abancourt Ksawery z Łówczy. Brückmann Ludwik z Terszakowa. Golejewski Tadeusz hr. z Sopochowa. Zaremba Alfons z Prochowiec. Doktor Józef z Czerniowiec. Truskolaski Henryk z Jasieniowa. Wasylko Alex. z Berkemetu.

PP. Dzieduszycki Włodz. hr. z Poturzyc. Czerwiński Jan z Remizowiec. Starzyński Leopold hr. z Podkamienia. Bobowski Konst. z Humnisk. Golejewski Antoni hr. z Harasymowa. Czajkowski Izydor z Jarosławic. Arzt Edward i Miączyński Jan z Krakowa. Fredro Edward Ksawery hr. z Krakowa.

PP. Thun hr. ze Złoczowa. Boczkowski Kasper z Wołowego. Rudziński Antoni z Leszczyna. Papara Henryk z Zubowych mostów. Malczewski Juliusz z Skwarzawy. Chiliński Adolf z Wisłowiec. Waniek Karol z Sambora. Krzeczunowicz Ignacy z Jaryczowa Starzeński Józef hr. z Bełzca. Seelig Ern. ze Stryja. Kral Tomasz ze Złoczowa.

Wyjechali od dnia 14. do 16. Września ze Lwowa.

PP. Boczkowski Kasper do Wołowego. Bogdanowicz Alex. do Przemiwółki. Hagen Gustaw hr. do Wiednia. Cielecki Ludwik do Borek. Smutny August do Przemyśla.

PP. Wierzbicki Julian do Kutkorza. Kozieradzki Stanisław do Złoczowa. Skarbek Władysław hr. do Tarnopola Brzeżany Maurycy do Skomoroch. Madurowicz Walenty do Szkła. Kalchberg Józef do Szkła.

PP. Bogdanowicz Józef do Rykliniec. Dzieduszycki Władysław hr. do Stryja. Żurawski Józef do Hlubowczyka. Skarbek Seweryn hr. do Tarnopola. Potuczek Wacław do Tarnowa. Gottlieb Kwiryn do Dołhomościsk. Skarbek Mieczysław hr. do Brodów. Zabielski Józef hr. do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 17. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$113\frac{7}{8}$	Pożyczka 5%	$75\frac{3}{8}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{5}{8}$	Akcye banku	1040
Londyn za 1 funt szterl.,	11	Kolej północna	$2057\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$112\frac{3}{8}$	Obl. ind.	$68\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków .	$131\frac{3}{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$98\frac{3}{4}$
Agio duk. ces.	20	Pożyczka narodowa . .	80

Wczorajszy **Kurs Lwowski**	Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 18	złr. 5	kr 21
Dukat cesarski	« 5	» 24	» 5	» 27
Półimperyał zł. rosyjski	« 9	« 7	» 9	» 10
Rubel srebrny rosyjski	» 1	« 45	« 1	» 46
Talar pruski	» 1	« 41	» 1	« 43
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 16	» 1	» 17
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	» 91	« 45	92	» 5
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	70	» 54	» 71	« 15
5 proc. pożyczka narodowa	79	» 30	» 80	» 30

Lwów, 17. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 39 złr. 15 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 25 złr. 30 kr. do 25 złr. 45 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do 13 złr. 45 kr. Owsa po — złr. — kr. do 12 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. 15 kr. do 21 złr. 50 kr. — Ziemniaków po — złr. — kr do 10 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 47 złr. — kr. do — złr. — kr. Sosnowego po 36 złr. 30 kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 45 kr. do 4 złr. 5 kr. Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 3 złr. 30 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. $27\frac{1}{2}$ kr. w. w.

Zdarzyło mi się poznać dwie panienki, które w upłynionym roku szkolnym odbierały naukę w zakładzie panny Świeprawskiej we Lwowie na Nowej ulicy, a ze względu na bardzo ograniczoną liczbę dobrych zakładów tego rodzaju, uważam za obowiązek donieść o tym mało jeszcze znanym zakładzie naukowym.

W panienkach bowiem, które mi się właśnie poznać zdarzyło, znalazłem nie płytkie, powierzchowne a tym samym całkiem niepożyteczne wyobrażenia „o wszystkiem i niczem“ — ale zasadne i dobrze zrozumiane wiadomości; znalazłem nie nagromadzenie świetnych a czczych słów, ale dokładną znajomość rzeczy istotnie potrzebnych — znalazłem jednem słowem naukę, wyrachowaną nie na efekt, ale na prawdziwy pożytek — naukę dla przyszłych matek i obywatelek. Wypytałem się o wszystkie szczegóły i poznałem, że oprócz robót kobiecych, muzyki, rysunków i przedmiotów przepisanych stanowią dzieje i jeografia, osobliwie zaś języki, styl i literatura główny przedmiot nauki, udzielanej w każdej gałęzi przez ludzi zawodowych sposobem najpojętniejszym, ale oraz sposobem takim, by posłużyć mogła za nieprzerwany wątek do najwyższej nawet doskonałości.

Jestem tego zdania, że daleko dokładniej przekonać się można o wykształceniu jakiejś osoby przez egzamin niespodziany, jak przy egzaminie oczekiwanym; że przy takim egzaminie osobliwie poznać można, jakie wiadomości stały się istotną i nierozłączną własnością tej osoby, zwłaszcza gdy się ten egzamin odbywa sposobem potocznej rozmowy, tak że pytana osoba dopiero po skończeniu spostrzega, iż odbyła egzamin.

Dlatego według własnego przekonania głośno mogę wypowiedzieć, że zakład naukowy p. Świeprawskiej jest zakładem do kształcenia kobiet istotnie światłych.

Adolf Rychlicki.

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 111 z roku 1855.